

Piraci chińscy w Szanghaju Porywają Europejczyków

by wyłudzić okup pieniężny

„Straszne” historie o piratach są znowu aktualne. Jakże błada się wydaje opowieść Stephena „Wyspa skarbów”, w porównaniu z przygodami Europejczyków, których porwali chińscy korsarze. Parę lat temu fale radiowe rozniosły po całym świecie wiadomość o porwaniu angielskiej miss i jej towarzysza, o ich pobycie w górskiej pieczarze wśród skośnookich zbójników, którzy mają taką metodę postępowania, że o ile nie dostaną na czas okupu, to posyłają rodzinie branki lub więźnia — dwa odcięte palce, albo okrwawione ucho z maleńkim post scriptum — „to dopiero początek”.

Katolickie agencje kilkakrotnie alarmowały świat wieściami o tragicznych przejściach misjonarzy, którzy mieli nieszczęście dostać się do chińskiej niewoli. Wiele jednak takich wypadków ginie w zamięszeniu, jak od kilku lat panuje na Dalekim Wschodzie, tylko głośniejsze osoby, za które trzeba płacić większy okup, są „obżalowywane” i stają się przedmiotem sżnistych artykułów.

Obecnie „Daily Express” ogłasza wspomnienia pana Nicholla, który był wprawdzie tylko agentem ubezpieczeniowym działającym na terenie Szanghaju, ale jako Anglik miał za sobą potężnych protektorów, którzy podnieśli larum, gdy oznajmiono, że pan Nicholl dostał się do niewoli. Depeche doniosły pokrótce, jak to pewnej nocy do parowca Shuntien podplynęło kilka dżonek natadowanych po brzegi pasażerami, jak się ci pasażerowie z malpą zręcznością wdarli na pokład, steroryzowali nieliczną załogę, wyciągnęli z kabin pięciu Anglików i jednego bogatego Japończyka i uprowadzili ich ze sobą.

— Wsadzono nas hurtem do jednej dżonki — opowiada Nicholl — pod strażą kilku oberwańców. Ale zaraz po pierwszym postoju podzielono nas i powieszano po dwóch do łodzi. Płynęliśmy całą noc, wreszcie o świcie dobiło się do brzegu ustronnej zatoki, gdzie już na brzegu zgromadzony był oddział korsarzy pod wodzą osobnika, który niewątpliwie zrobiłby karierę filmową — był bowiem wymarzoną postacią herszta rozbójników. Zapytałem

go po chińsku co zamierza z nami uczynić, odpowiedział, że następnego dnia wyśle zaufanego Chińczyka razem z jednym z Anglików do Tsinan Fu (stolica prowincji Shantung) z listem do konsula. Nie chodzi mu o okup — bynajmniej, jedynie o pisemne zapewnienie bezpieczeństwa korsarzom. Konsul będzie musiał napisać, że przeciwko korsarzom nie będą w dalszym ciągu wysyłane zbrojne ekspedycje. Oto wszystko. Jeżeli takiego zapewnienia nie da, tegoż dnia odbędzie się egzekucja wszystkich jeńców.

Następnie rozpoczęło się przeglądanie łupów, w kryjówce rozbójników. Upiornie szpetny herszt przebrał się w skradziony smoking, obwiesił się klejnotami i włożył fantastyczny zawój na leb, inni korsarze poszli za jego przykładem, toteż pierwszy posilek sprawiał wrażenie uczty na maskowym balu. Znalezione też w walizkach płyty i gramofon, więc urządzono koncert.

Następnego dnia strażnicy zaczęli zabijać nudę, dokuczając więźniom. W nocy budzili ich, przytykając im pochodnie do twarzy, i grozili im wylizaniem najstraszniejszej tortury, jakim ich poddadał w razie negatywnego rezultatu rokowań.

Ponieważ wystannik nie wracał, postanowiono zorganizować nową ekspedycję. Oznajmiono Nichollowi, że tym razem on i inni więźniowie, Japończyk Sun Dan Lin zostaną wysłani w dżonce do Shawa, stamtąd samochodem do Tsinan — Fu z petycją do konsula. Tymczasem zanim spełniono ten plan nad obozem rozległo się warczenie samolotów. Trzy samoloty jęły zataczać kręgi nad obozem, budząc popłoch wśród korsarzy. Lecz herszt bandy nie stracił głowy, na jego rozkaz zaczęto strzelać do metalowych ptaków, które niebawem wzbily się wyżej i odleciały. Trwało to dość długo. Późną nocą wsadzono Nicholla i jego żółtolicęgo towarzysza niedoli do dżonki, a następnie na pokład sampanu rybackiego. Rybacy zgodzili się wzięć więźniów.

Podróżuj samolotem

gdyż otrzymali sutą zapłatę, zresztą byli steroryzowani przez licznych wartowników.

— Ci rybacy byli weale pocziwi — opowiada Nicholl — traktowali nas łagodnie i nie żalowali jedzenia więźniom. W pewnej chwili, gdyśmy już byli na pełnym morzu — usłyszałem dalekie warczenie motorów. Nagle na wodę spadła butelka, którą rybacy zaraz wyłowili. Znajdowała się w niej kartka z następującym napisem:

— Angielski destroyer „Veteran” o dwadzieścia mil stąd. Niezadługo nadleci eskadra powietrzna. Dajcie znak, jeżeli u korsarzy na lądzie pozostali jeszcze inni jeńcy.

Jeden z rybaków uległ moim namowom i wywiesił białą szmatę.

Niebawem nadleciały samoloty i wydobły nas z opresji. Najgorzej działo się tym, którzy pozostali w dżonkach, przy brzegu. Podczas ostrzeliwania obozu korsarzy Chińczycy ukryli jeńców pod pokładami dżonek, gdzie można było się snadnie zadusić. Tymczasem samoloty ostrzeliwały nieustannie oboz, wylądowały na nadbrzeżnej polanie. Wywiązała się bitwa z korsarzami. Brat herszta padł od kuli angielskiej. To wywołało nieopisany popłoch wśród rozbójników. Przestali oni ostrzeliwać samoloty. Pilot zrzucił znowu blaszaną z listem, piśnianym po chińsku. Domagano się w nim od korsarzy natychmiastowego wypuszczenia jeńców. Jednak dopiero w parę godzin później zgodzili się oni oswobodzić Europejczyków i wsadzili ich na pokład sampanu, który otrzymał polecenie wypłynięcia na pełne morze. Tam zaś zbliżył się do niego angielski destroyer „Whitshed” i już bez bitwy zabrał jeńców.

Można sobie wyobrazić co z tego suchego sprawozdania, pisanego przez pozbawionego wyobraźni agenta ubezpieczeniowej kompanji, potrafiłby zrobić jakiś Malraux czy Ferrere. Poprostu poemat. I pewnością wpłeliby w akcję tajemniczą amazonkę chińską o onyksowych oczach i kamieniem serca, która nieczem saharjską Antinea uwiodłaby jasnolosego i różowego „gentlemana”, Nicholla.

Skutki piorunów w samolotach

Wypadek polskiego pociągu powietrznego

Uderzenia piorunów w samoloty, będące w ruchu, należą do wydarzeń nadzwyczaj rzadkich i za wyjątkiem pożaru zazwyczaj nie pociągają za sobą żadnych bezpośrednich tragicznych następstw, ani dla załogi, ani dla maszyny. Słowem niebezpieczeństwo to praktycznie nie istnieje. A jednak sam fakt wylądowania się na samolot elektryczności, nagromadzonej w atmosferze, czyli normalne uderzenie piorunu zdarzało się już w historii lotnictwa światowego.

Dyrektor Instytutu Aerodynamicznego w Brunświku, prof. Koppe, zebrał dane o wszystkich wypadkach uderzenia piorunu w samolot w locie od początku istnienia lotnictwa. Twierdzi on, że nie można tu mówić o właściwym uderzeniu, lecz jest to jedynie przepływ wylądowania elektryczności przez masę samolotu, co stanowi jakgdyby część drogi piorunu.

Podczas takiego wypadku narazone są prawie wyłącznie wszelkie instalacje elektryczne i radiowe, oraz wszelkie przyrządy pokładowe samolotu, których działania nie i wskazania mogą się stać błędne, na skutek magnetyzmu. Zagrożone też są szyby kabiny wskutek raptownej zmiany ciśnienia. W niektórych wypadkach stwierdzono stopienie niektórych części okuć, styku blach maski silnika, uszkodzenia chłodnicy i t. p. Ciekawe jest, że samoloty drewniane i o konstrukcji mieszanej ucierpiały zazwyczaj więcej, niż całkowicie wykonane w metalu.

Prof. Koppe zebrał dane statystyczne tych wypadków na całym świecie, za wyjątkiem Stanów Zjednoczonych. Do marca b. r. było ich tylko 32, żaden z nich nie zakończył się tragicznie. 33-ci wypadek zdarzył się w maju b. r. u nas w Polsce. Piorun uderzył w pociąg powietrzny, składający się z samolotu wojkowego R-13, pilotowanego przez inż. J. Rzewnickiego i wlezionego przezeń szybowca SG-28, którym kierował p. Z. Oleński.

Ten pociąg powietrzny powracał z Wilna do Warszawy w niezwykle ciężkich warunkach atmosferycznych. Między Białymostkiem a Warszawą natknął się na szeroką barierę chmur gradowych, której nie mógł ominąć lotem okrężnym, spowodował ograniczonego zapasu paliwa, zmuszo-

ny był więc wejść w ulewę pod chmurami.

Okazało się, że za ulewą kryła się jeszcze niższa warstwa chmur burzowych, w której pociąg powietrzny znalazł się zupełnie nieoczekiwanie. Otoczyły ich niemal zupełnie ciemności. Straciwszy widoczność zewnętrzną, pilot przeszedł na pilotaż tak zwany ślepy, t. j. kierując się wyłącznie wskazówkami przyrządów pokładowych. Szybownik zaledwie dostrzegł przed sobą kawałek linki, łączącej go z holującym samolotem i zarysy sylwetki maszyny. W tym momencie nastąpiło wylądowanie elektryczności atmosferycznej. Uderzyło ono w stalowe rusztowanie holownicze (gdzie zaczepiona jest linka stalowa, łącząca samolot z szybowcem), miesząc się tuż nad głową pilota motorowego. Po rusztowaniu tem i stalowej linie holowniczej przebiegło na szybowiec, uderzając silnie szybownika, tak, że go na chwilę zamroczyło, przyczem zdrtęłała mureka, trzymająca drążek sterowy. Pilot motorowy widział tylko efekt świetlny i poczuł dzwonięcie w uszach od huk wylądowania, silniejszego od głosu silnika. Siedzący poza pilotem mechanik, kapral Mładracki doznał lekkiego wstrząsu, bez żadnych przykrych

następstw. Na szczęście udało się całej załodze opanować sytuację i wyjść po paru minutach z barier burzowej na pogodne niebo po drugiej stronie chmury, nie zerwawszy wzajemnego kontaktu z szybowcą z samolotem.

Na podstawie badań przeprowadzonych niedawno we Francji, trudno jest mówić o piorunie w zwykłym znaczeniu „ziemskim”, jeżeli niema połączenia z ziemią. Wszyskie wypadki, zaszły w tych warunkach w locie, były i naukowo biorąc muszą być mniej lub więcej nieszkodliwe, najwyżej lekkie oparzenie, ogłuszenie itp.

Mniej więcej w tym samym czasie zdarzył się również we Francji wypadek uderzenia pioruna w locie, wskutek czego samolot został straszakom bezspornie od samego uderzenia piorunu. Przypuszczalnie musiało tam istnieć uziemienie, za pośrednictwem strumienia wody deszczowej. Samolot ten musiał się dostać w tak zwane oberwanie chmury.

Polska załoga leciała również w rzęsimym deszczu, lecz widocznie ulewa ta nie była wystarczająca do uziemienia, a pozatem wylądowanie musiało być stosunkowo słabsze.

Przed kramami

Grzechy Anusi Pyrskiej

Młody, lecz bardzo utalentowany p. Kazimierz P... (rekordzista piątego oddziału szkoły powszechnej w szkole u tycze), wychodząc z uczelni, znalazł na ulicy wąski karteluszek. U góry, ładnym, kaligraficznym piśmem widniał nagłówek: „Grzechy Anusi Pyrskiej, ucz. oddz. 5”, niżej zaś wypisana była lista:

1. Te cukierki, com dostała dla mnie i Karoli, tom się nie podzieliła i oba zjadłam sama.
2. Te dwie szpilczki, z kolorowymi lepkami, com ukradła Cioci Femei z poduszeczki.
3. Com podglądała Marysię, jak się całowała z narzeczonem.
4. Com nakłamała na kota, że rozbił wazon, a to ja rozbiłam.
5. Jak mi Mama kazała pilnować Karoli i żem uciekla na deszcz latać z chłopakami po blocie.
6. Jakem ściągała arytymetykę od Franki na klasówce.
7. Jakem mówiła na starą Pilichową „kudłata malpa” i „stary kołtun”

— Glupie grzechy — pomyślał z pogardą — nie to, co moje. Jakem nauczycielowi wsadził w kieszeń rakla, że mu mało pałucha nie obciął, albo jakim szpilca pani doktorowej wykapał we farbeci! Wszyskie psy na niego szczekały, taki był niebieski.

Ironiznym wzrokiem przebiegl raz jeszcze całą listę i poczył zastanawiać się nad sposobem wykorzystania grzechów Anny Pyrskiej. Po krótkiej rozprawie doszedł do wniosku, że najwłaściwszym, użytkiem, jaki można zrobić z kartki, będzie doręczenie jej bez komentarzy starej Pilichowej.

Już nazajutrz rano stara Pilichowa sprząla Anusię kopystką na kwaśne jabłko. Przed obiadem matka Anusi wywarła na p. Pilichowej zemstę przy pomocy pogrzebacza. Mąż tej ostatniej, p. Pilich odpowiedział, jak na furmana przystało, kozicą, po o-biedzie zaś walczył już na podwórzu dwie armie, pod przewodem p. Józefa Pyrskiego z jednej strony i p. Adama Pilicha z drugiej. Dzięki udanemu manewrowi oskrzydłującemu i pewnej przewadze sił, ośmiu ludzi, zwyciężyła armia p. Pilicha. Wodza nieprzycięci, jego swrąga i siostrzeczka odwozła kartkę Pogotowia, p. Pilicha zaś i jego wojsko opatrzone w ambulatorjum.

Wczoraj, w Izbie Grodzkiej XI okręgu wszyscy wymienieni otrzymali różne kary od tygodnia do czterech tygodni aresztu bezwzględного. Takie ma skutki gubienie grzechów na ulicy.

Very

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński

Jan Waśniewski

7

OGNIE W PIRYTACH

POWIEŚĆ

Nikt nie miał właściwie pojęcia, jak wygląda ta część kopalni i nie umiałby jej nawet w przybliżeniu odtworzyć, więc plany weale nie były pewne. Na dole wiało od niej zapachem siarki, na powierzchni znaczyła się głębokim wkłosem gruntu. Odór świadczył, że gdzieś tam wśród zawałisk odbywa się proces utleniania piryty, a wkłós, że napór warstwie zmiażdżyl już chodniki. Kilkakrotne starania, aby dostać się do prawdopodobnych złóż starej kopalni, lub zamiary przekopania tam nowych chodników, kończyły się zawsze nieszczęściem. Robotnicy nabrali jakiegoś zabobonnego respektu dla pół - zawałonych zrobów, zaś zarząd, t. j. Roncewicz i Walicki, przed piętnastu laty postanowili nie zakłócać spokoju sędziwym podziemiom.

— Tak będzie i teraz...
Odpiał pluskiewiki, a plany zrułowały się same z suchym szelestem...

Ręce sięgały po korespondencję. Jeden z pierwszych listów brzmiał:

„Do
W. Pana Nadsztygara kopalni Herakles w Tukience.

Wobec śmierci ś. p. inżyniera Roncewicza, Zarząd T-wa Górniczo - Hutniczego w Dąbrowie Górniczej poleca W. Panu pełnienie obowiązków zawiadowcy kopalni aż do odwołania.

Dyrektor (—) Stalkowski”.

— Do odwołania? Hm!... A więc nie zostawią mnie tutaj jako samodzielnego. Rychło zapewne nastąpi odwołanie. Teraz jednak jestem na stanowisku inżyniera.

Wstał z miejsca.

— Józefie! — zawołał na woźnego.

— Słucham pana nadsztygara.

— Przenieście mi te plany i papiery do gabinetu zawiadowcy.

Zasiadł wygodnie w fotelu, wyciągnął nogi i zapalił papierosa.

— No, przynajmniej przez kilkanaście dni...

Naraz czoło mu się zasepiło.

— Wszyskie rozbija się o ten mały, głupi świstek papieru... Gdybym miał dyplom inżynierski, pozostałbym już na tem miejscu na stałe...

Poczuł, że to byłoby jedynym logicznym rozwiązaniem sprawy. Któż tu bowiem naprawdę rządził?

— On!

Siadywał wprawdzie za tym stołem tamten drobny człowieczek o ryżawej bródce i dobrotliwym uśmiechu, ale on, Walicki, był zawsze duszą kopalni.

Roncewicz zmylał naraz w oczach nadsztygara. Mimo to nie mógł się pozbyć rozczulenia, gdy o nim myślał.

— Tak, ja tu działałem i tworzyłem... Myśleliśmy wšyscy trzej (bo i Łuczyński także), ale Roncewicz miał ten umiar, potrafił hamować moje zbyt daleko zdążające zapędy... Umiął dojrzeć sedno sprawy, i sam ostatecznie wšysko rozstrzygał.

Po chwili dodał z melancholją:

— Co to będzie bez niego?

Zduśł niedopałek papierosa w popielniczkę i rzekł niemal głośno:

— Dobrze będzie!

Wstał z fotelu, ujął w rękę papier, w którym główny zarząd przynaglał go do zwiększenia wydobycia błyszczu ołowiu i olbrzymimi krokami udał się do pokoju sztygarów, gdzie wyhuczał całą litanję rozporządzeń.

— Zwłaszcza pan Targowski ma się postarać, by jaknajwięcej fedrować kruszcu. Na pańskim polu jest

podostałkiem...

Były to pierwsze rozkazy, które wydał na swoją wyłączną odpowiedzialność. Pilnował ich wykonania z nadzwyczajną drobiazgowością, i rzeczywiście w kilka dni wydobycie ołowiu wzrosło bardzo silnie. Przeglądał raporty z błyszczącymi oczyma.

— Jeszcze się tam na coś przyda stary Walicki!

Pracował ze zdwojoną energią, nie folgując sobie ani podwładnym. Żadne niedopatrzeńie, a tembardziej przestępstwo nie uszło robotnikom, ani dozorcóm na sucho. Dawniej znany był z tego, że się wykrzyczał, ale winę puścił płazem; teraz za upomnieniami posypywały się kary, jak grad...

Napawał się pełnią władzy.

— Niedługo będę rządził, ale im pokażę, co znaczy porządek!...

Robotnicy i niżsi funkcjonariusze kopalni, obserwując posunięcia Walickiego, doszli do wniosku, że napewno zostanie zawiadowcą... Sztygarzy jednak powątpiewali, a Łuczyński dziwił się nawet taktyce nadsztygara.

— Miota się i wrzeszczy, jak opętany... Jak Boga kocham, szkoda gardła... Stanowiska i tak nie wyrzesczy!

Naciskał jeszcze mocniej cyklistówkę na oczy i łaził, jak zwykle, z założonemi wtył rękami po powierzchni kopalni.

Kwiecień przypuszczał, że robi teraz karierę i nabierze dużo większego, niż dotychczas znaczenia. Gdy jednak wyrwał się kiedyś nieproszony z radą, Walicki odrazu go usadził. Zrobił to w taki sposób, że Kwiecień poczuł się dotknięty. Zacerwienił się, nadąsał i wysunął z pokoju...

Walicki, patrząc, jak pękaty sztygar opuszcza jego gabinet, pomyślał:

— Niech się nie pcha... Ja tam nie biorę pod uwagę ani przyjaźni, ani przyszłego pokrewieństwa. Służba i już... Obowiązek, psia krewo!...

(C. d. -.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefon 666.99 (sekretny, dodatkowo red. naczelny); 666.62 (dział polityczny i ekonomiczny); 666.69 (dział miejski i liter. art.); 666.59 (miedzygospodni). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11-12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, 7goda 1. Telefon: Administracja i Zarząd 691.64. Prenumerata 691.66. Wydział ogłoszeń 691.66. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto czekowe P. K. O. Nr. 13550.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysok. 1 mil. metra przez szerokość jednej szpalty (na wšyskich stronach po 6 szpalty): na 1-iej stronie — 1 zł w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr. na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł. Lekarskie — 30 gr. Nekrologia — 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz. duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyraz. reklamowe oznacza się cyfrą (N) a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1. tel. 691.56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński